

Roman Bromboszcz

Alegorie

I

Miałem sen w którym jadę
na rowerze
i spotykam dwóch mężczyzn
jadących pod górę
z drabinami

Mijają mnie
chwaląc się z przewagi
ale gubią drabiny

Na szczycie
zatrzymują się

W tym śnie narzuca mi się
wątek z Wittgensteina

Wejść po drabinie
by ją później odrzucić

Obudziłem się i wstałem

Zrobiłem to co zawsze robię rano
Umyłem się
Ucałowałem ukochaną
Poszedłem do pracy

Gdy mijalem ulice
nasunęła mi się
refleksja że
dzień jest symbolem
całego życia

Wstajesz rano
tak jak byś się rodził
a sen który śniesz
jest twoją matką

II

Wypluwa na ulicę
szczenięta zawinięte
w gazetę

Ktoś je sprząta
Zjawia się w rydwanie
Niecierpiąca zwłoki
ręka

Dziecko rośnie
W średnicy
Tętni żądo miasta

O poranku
W ranie
Na maszcie

Idzie sierp do węzłowania
Ucina kasztany

Gdy docierasz do kłamki
Kłapie zimno z wiadra
Tak dojrzewa do cienia
Twoje pół twarzy

Gdy Zachód chyli się
ku upadkowi
Gdy zamki rosną

III

Analizy Kadmosa
w punkcie spornym
o nosie

Co mi wiatr przywieje
to splami potłacz
Wahasz się
i hardo swojej tezy bronisz

Na giętkim kiju widzisz
przepaść
Cofasz się aż poczujesz
plecy wron

Udział policzków
w podmuchu
trąb

Miecze są ostre
nie tylko po to
by toczyć krew

Tłum wystąpił
z fasady brzuśca
w zgiełku
autostrady

Nie domknie się
powieka w stu dniach
salwy

Szatwie baranka
Komukolwiek
Zdałoby się
Zasoby

Pełen powitań
morszczuk
przelewu

Wąskie gardła
i donośne głosy

Cięciwy
wypruwają
koszule